Nr. 1 WE LWOWIE, 1 STYCZNIA 1936 R. Rok 58

ŁOWIEC

ORGAN
MAŁOPOLSKIEGO
TOWARZYSTWA
ŁOWIECKIEGO



ROK 58 WE LWOWIE, 1 STYCZNIA 1936 R. Nr. 1

ŁOWIEC

ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

NA ROK NOWY a 60-ty istnienia Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego zasyłamy naszym Członkom i Współpracownikom najserdeczniejsze „Szczęść Boże!“

Delegatowi naszemu p. Władysławowi Gürtlerowi, obchodzącemu dwudziestopięcioletni jubileusz swej pracy na polu popularyzacji wiedzy przyrodniczo-łowieckiej, składamy gorące gratulacje z życzeniem dalszego jej postępu i rozwoju.

Redakcja.

Łowiectwo w Dobrach Żywieckich

Według starych ksiąg i dokumentów, dobra Żywieckie od roku 1472 do 1623, stanowiły własność rodziny Komorowskich.

Po śmierci Wawrzyńca Komorowskiego w roku 1596 trzej jego synowie podzielili się dziedzictwem w ten sposób, że Piotr otrzymał państwo Suskie, Aleksander Ślemieńskie, a Mikołaj Żywieckie i Łodygowickie.

Mikołaj Komorowski zasłynął z rozpusty i marnotrawstwa. Narobiwszy długów na olbrzymią podówczas sumę 600.000 Złp., zwrócił się do królowej Konstancji, żony Zygmunta III, z domu arcyksiężniczki austrjackiej, z prośbą o pomoc, przyczem ofiarował jej na sprzedaż dobra żywieckie.

Królowa Konstancja udzieliła Mikołajowi Komorowskiemu żądanej kwoty 600.000 Złp. na spłacenie długów. W następstwie tego wysłano 4 marca 1623 r. do Żywca specjalną Komisję. Ta spłaciwszy długi Komorowskiego, przejęła w imieniu król. Konstancji zamek i posiadłości.



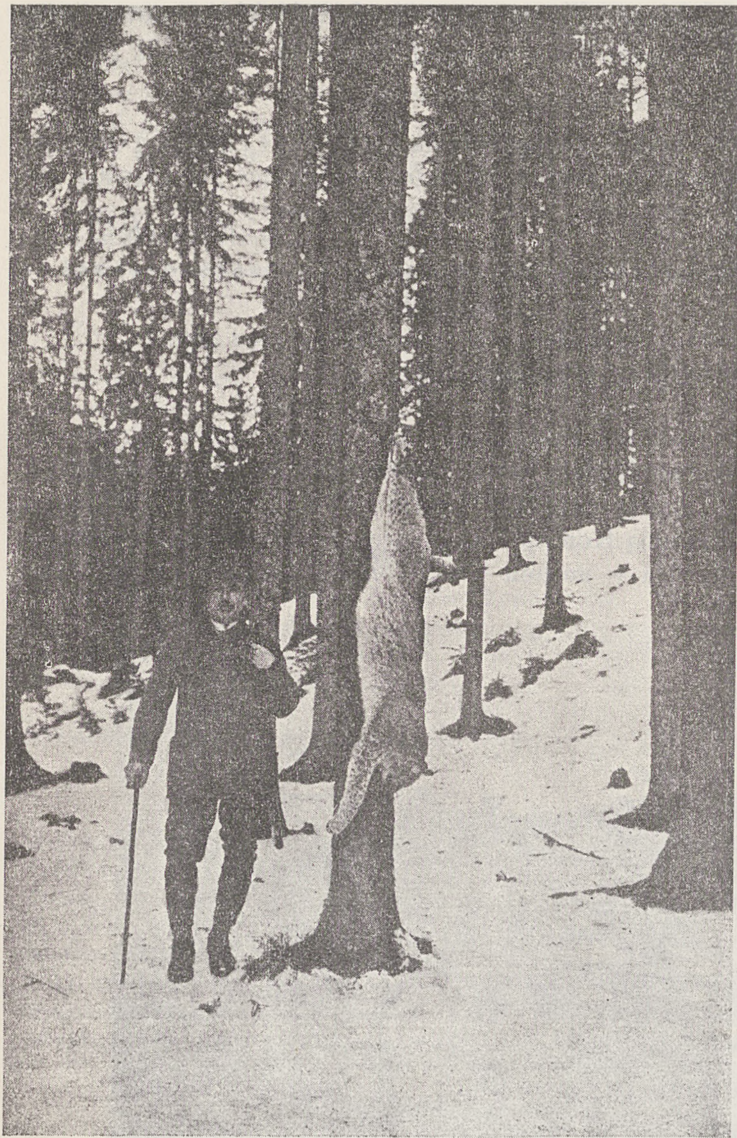
Stary zamek.

Tymczasem jednak zaczęto w kraju szemrać przeciw nabyciu dóbr prywatnych przez królowę, przyczem powoływano się na dawne prawa i pacta conventa, wedle których ani król ani królowa, nie mogli w kraju nabywać dóbr prywatnych.

Sprawę ułagodziło się ostatecznie na Sejmie w Warszawie w r. 1631 w ten sposób, że Sejm zezwolił na zatrzymanie dóbr żywieckich przez królowę i jej spadkobier-

ców — jako dziedzicznej i prywatnej posiadłości na tak długo, aż ją wykupi Rzeczpospolita, bądź też jakiś szlachcic, przez uchwałę Sejmu autoryzowany, a to przez zapłatę sumy 600.000 złp., która miała być zastawem na dobrach tych ubezpieczoną.

Królowa Konstancja zmarła dnia 10 lipca 1631 r., przeznaczając dobra żywieckie swym synom Janowi Kazimierzowi, Karolowi Ferdynandowi, Aleksandrowi i Janowi Albertowi.



Zarząd lasów Zlatna: ryś upolowany w r. 1923.

Ostatni ze synów Jan Albert zostawszy biskupem krakowskim i kardynałem, zrzekł się części Żywca na rzecz braci.

Pozostali bracia Jan Kazimierz, Karol Ferdynand i Aleksander, przybywszy do Żywca dnia 17 marca 1633 r., objęli dobra żywieckie w posiadanie.

Aleksander zmarł w r. 1634 bezpotomnie — Karol Ferdynand zaś w r. 1655.

Jan Kazimierz, jedyny odtąd właściciel Żywca, wstąpił na tron polski w r. 1648 po śmierci Władysława IV, syna Zygmunta III, z pierwszego małżeństwa z Anną austrjacką.

W r. 1655 Jan Wielopolski, kanclerz koronny, starosta krakowski (jako poseł od Jana Kazimierza na dwór Ferdynanda III. — poślubił Konstancję Krystynę Komorowską, kasztelankę oświęcimską. Wszedłszy w ten sposób w koligację z dawnym rodem Komorowskich, nabył prawo opcji dla dóbr żywieckich na podstawie uchwały sejmowej z r. 1631.

Z opcji tej zrobił Jan Wielopolski użytek i po śmierci Jana Kazimierza (w r. 1672) oświadczył na sejmie w roku 1676 zamiar wykupna dóbr żywieckich za kwotę zastawniczą.

Komisja wyznaczona do wykupienia dóbr żywieckich na sejmie koronacyjnym r. 1676, złożona z Andrzeja Trembickiego biskupa krakowskiego, Bonawentury Madalińskiego biskupa płockiego, Jana Andrzeja Morsztyna podskarbiego koronnego, Stanisława Morsztyna sekretarza król. i innych — orzekła:

„Stosując się do konstytucji z r. 1631 o odkupieniu dóbr żywieckich, które urodzony Jan z Pieskowej Skały Wielopolski, stolnik koronny, generał małopolski, krakowski, nowotarski i bocheński starosta, imieniem potomstwa swego, jako dóbr tych po rodzicielce swej urodz. Krystynie Komorowskiej, najbliższych dziedziców, odkupić je na sejmie teraźniejszym deklarował i przez posły ziemskie według konstytucji to odkupienie, egzykutorom testamentu śp. Najj. Kazimierza, antecessora, jako ostatniego sumy 600.000 Złp. na dobrach żywieckich per legem publicam, asekurowanej, dziedzica opowiedział, przeto więc komisja zezwala na to wykupno.“

Na dobrach tych, prócz sumy 600.000 Złp. ciążyły różne zapisy, zaciągnięte przez Ferdynanda Karola i Jana Kazimierza.

Wszystkie te długi spłaciwszy, objął Jan Wielopolski dobra żywieckie w swoje posiadanie jako prawy i nieograniczony właściciel.

Po jego śmierci dobra wspomniane przeszły na spadkobierców, a w szczególności dobra żywieckie przypadły Franciszkowi Wielopolskiemu. Ten umierając w r. 1772, pozostawił trzech synów, którzy jednak nie utrzymali się przy tych dobrach. Największą część dóbr żywieckich zakupili: książę Albert Saski, elektor Fryderyk August i arcyksiążę Karol Ludwik, pradziad obecnego właściciela oraz inni nabywcy.

W r. 1847 zmarł arcyksiążę Karol Ludwik. Spadek po nim objął najstarszy syn jego, arcyksiążę Albrecht.

Arcyksiążę Albrecht zmarł w r. 1895. Testamentem z daty Wiedeń 11 stycznia 1893 r., zapisał dobra żywieckie synowi swego brata Karola Ferdynanda, zmarłego w r. 1874, Karolowi Stefanowi Habsburgowi, ojcu dzisiejszego właściciela.

* * *

Lasy Dóbr Żywieckich zajmują łączną powierzchnię 40.800 ha, z czego powierzchnia łowiska wynosi 30.855 ha i obejmuje zarządy (nadleśnictwa) leśne: Sól, Ujsoły, Złatna, Kamesznica, Rycerka, Lipowa, Sopotnia, Międzybrodzie i Porąbka.

Najliczniejszą po zającu zwierzyną łowną jest u nas sarna. Stan sarn na całej powierzchni łowiska waha się między 2.000 a 2.100 sztuk i jest niższy od przedwojennego, kiedy ilość sarn w jednym tylko zarządzie Rycerka, dochodziła do 600 sztuk; obecnie wynosi ona 450 sztuk a mianowicie 250 kóz i 200 rogaczy.

Do uregulowania i utrzymania odpowiedniego stosunku sarn do rogaczy, jakoteż celem poprawienia jakości tej zwierzyny, dąży się przy pomocy regularnego corocznego odstrzału, przeważnie kóz i koźląt. Zwracając uwagę na fizyczny rozwój zwierzyny, wybiera się do odstrzału kozy możliwie najstarsze i jałowe, oraz koźlęta słabo rozwinięte i nieodpowiednie do dalszej hodowli.

Stosowany sposób polowania: z zasadzki lub z podchodu.

Karmę na czas zimowy zapewnia się zwierzynie przez obsiew części linji leśnych i poletek, różnemi gatunkami koniczyn i traw. Oszczędza się również rosnące w lesie krzewy, jarzębinę, dziki bez, tarninę, maliniak i t. p. Wreszcie w zimie zadaje się jeszcze sztuczną paszę, głównie siano koniczynowe i owies w specjalnie do tego celu służących paśnikach.

Nadmienić wypada, że do regularnego odstrzału — poza dążnością do poprawy jakości zwierzyny — zmuszają bardzo poważne względy hodowli i ochrony lasu. Lasy Dóbr Żywieckich porastają zbocza gór Beskidu Zachodniego. Brak, w pobliżu wielkich kompleksów drzewostanów pól ornych i uprawnych łąk zmusza sarnę w zimie do poszukiwania karmy w kulturach, w których powstają wielkie szkody przez ogryzanie pędów i pączków wierzchołkowych jodeł i świerków. Ogryzione egzemplarze drzewek tracą na przyroście przez szereg lat, lub też częściowo zupełnie giną. W związku z tem wzrastają bardzo znacznie koszty sztucznego odnowienia drzewostanów, gdyż ubytek sadzonek, skutkiem ogryzania, zmusza do długiego i drogiego kontynuowania uzupełnień. Stosowanie środków ochronnych, pierścieni kolczastych, zakładanych na pędy wierzchołkowe, owijanie pędów szczytowych pakułami i t. p. nie dało zadowalających rezultatów.

Odnośnie zajęcy, to stan ten w poszczególnych latach ulega znacznym fluktuacjom, co częściowo widać, choćby z zestawienia ubitej zwierzyny, w poniżej umieszczonej tabeli.

Przeciętnie przyjąć można liczbę zajęcy ubijanych na naszych polowaniach w terenie górskim na 30—35 sztuk, chociaż są rewiry łowieckie, na których pada 80 do 100 zajęcy (Solańska Grapa w zarządzie Sól).

Praktykowany sposób polowania: z nagonką i miejscami na polach w okolicy Żywca w kotły.

Ubito w roku	Zwierzyny																ptactwa																
	użytecznej				szkodliwej												użytecznego										szkodliwego						
	rogacze	kozy	dziki	zające	żbiki	lisy	borsuki	wydry	kuny leśne	kuny dom	tchórze	łasice	wiewiórki	psy	koty	gronostaje	głuszce	jarząbki	bażanty	kuropatwy	przepiórki	gołębie zikie	słonki	kaczki dzikie	łyski	bekasy	orły	myszołowy	kanie	jastrzębie	krogulce	sojki	kruki, wrony sroki
1925	41	1	8	826		97	7	5	27	1	12	38	138	374	286	2	4		1	1			16	16			1			179	26	10	991
1926	57		15	1108		130	2		30		15	30	222	380	385		3		3			2	16	132				6	8	143	96	131	1267
1927	48	10	4	1002		83	2		26	2	1	41	201	429	494		6		7	30			10	71	9	2	7			258	14	51	1465
1928	87	26	23	1489		118	2	1	20		6	77	92	373	544			1															
1929	45	52	5	381		80	5		14		3	91	16	351	549		1			31			6	36						204	16	91	1348
1930	92	68	9	1316	1	110	11	1	12		3	84		445	818		1	4	4	193	4		8	10			1			329	62	152	1565
1931	80	105	25	1530		91	4		3		2	96	56	485	747		1		15	120			9	43			3			307	37	58	1417
1932	58	128	26	1604	1	109	2		19			56	523	499	743			1	11	176			2	44				1		330	74	134	1413
1933	154	84	20	1296		72	2		31		1	39	205	448	887			3	5	567			11	28						259	30	132	1771
1934	96	113	10	2415		143			29		5	76	53	528	978		2	2	45	726			10	131						386	45	150	1380

W latach 1890 — 1924 ubito: 9 rysi i 28 żbików, z tych ostatnich w r. 1918 — 17 sztuk.

W roku 1919 ubito 68 dzików.

Zarząd Lasów Żywieckich

ADAM STARZEŃSKI

O Londyńskiej Wystawie Zdjęć z Natury

W ubiegłym miesiącu zwróciliśmy uwagę naczych Czytelników na Międzynarodową Wystawę Zdjęć z Natury, urządzoną w Londynie kosztem Country Life, tygodnika powszechnie znanego, poświęconego, jak tytuł jego na to wskazuje, życiu wśród przyrody. Wystawy tego rodzaju, o takich rozmiarach, dotąd nigdzie nigdy nie było. Od roku 1897 t. j. od początku swego istnienia Country Life stale umieszczał w swoich numerach zdjęcia żywych ptaków i ssaków a w bieżącym roku postanowił zaprosić świat cały do wzięcia udziału w wystawie, któraby zgromadziła wszystkie najlepsze zdjęcia, dokonane jednakowoż jedynie w naturalnych, dzikich ostojach a nie np. w ogrodach zoologicznych. Celem tej wystawy było przedewszystkiem pokazać piękność żywej przyrody szerokim warstwom publiczności. Wstęp dlatego jest bezpłatny. Dalej chciano rozbudzić zamiłowanie przyrody i zachęcić do robienia dalszych podobnych zdjęć.

Tego rodzaju wystawa jest na czasie. Ogólnie bowiem, we wszystkich krajach widzimy, że przemęczona dzisiejszemi przeżyciami ludzkość instynktownie zwraca się ku przyrodzie. To co widzą i co odczuwają, dla wielu jest nowością, dla wielu jednak wypoczynkiem, lub nieraz więcej jeszcze, bo lekarstwem.

Dalszym jeszcze celem tygodnika Country Life był pokaz rozwoju techniki fotograficznej i dla porównania wystawiono w osobnem skupieniu również i stare zdjęcia dokonane przed wielu dziesiątkami lat, w czasach gdy ci pierwsi entuzjaści, chcąc otrzymać zdjęcia żywych, ostrożnych, ruchliwych stworzeń, olbrzymie mieli trudności do

pokonania, dźwigając ogromne, ciężkie, nieporęczne aparaty i trójnogi, a przytem ówczesne mało czułe szklane płyty fotograficzne wymagały długiego naświetlania. Pełni podziwu i uszanowania stoimy przed temi prymitywami. Jako przykład wysiłków, jakie nieraz były potrzebne, by ówczesny pionier-fotograf uzyskał dobre zdjęcie, zawieszono takie dwa obrazki obok siebie. Na jednem zdjęciu w trawie po pas na łące stoi p. Richard Kearton z ogromną kamerą na ramieniu, obok zaś stoi ogromny wypchany wół. Na drugiem zdjęciu skowronek ukryty w wysokiej trawie karmi swoje pisklęta. Z grzbietu tego woła sfotografowano to ciche, skromne życie familijne.

Wszystkie państwa wszystkich kontynentów zaproszone zostały do nadesłania zdjęć. Olbrzymie ilości nadeszły, o tak doskonałej jakości, że Komitet Wystawy wielkie miał skrupuły i trudności w dokonaniu wyboru, gdyż mimo ogromu Hall'u Wieloryba, który British Museum w Oddziale swym dla Historji Naturalnej w dzielnicy South Kensington na ten cel użyczyło, zdołano tam umieścić tylko 1309 zdjęć, ale o rozmiarach 40 na 50 cm.

Australja, Indje, Afryka, Nowa Zelandja, Ameryka północna i południowa, Japonja, kontynent Europejski i oczywiście Wielka Brytanja, są tam reprezentowane. — Uwagę zwiedzających zwraca przedewszystkiem tygrys bengalski, wolno kroczący przez dżunglę, arcydzieło powiększenia, rozmiar na długość wynosi 8 stóp angielskich, czyli przeszło dwa i pół metra.

Zdjęć czworonogów wystawiono 384, ptaków zaś 925. Niektóre zdjęcia robione są z odległości kilku metrów. Słonie, nosorożce, hipopotamy i inne groźne bestje niesamowicie blisko stoją na sztych przed nami. Zdjęcia ptaków, technicznie niewątpliwie najtrudniejsze, wymagały napewne wielu godzin, lub nawet wielu dni mozołu i cierpliwości. Najrozmaitsze fazy życia ptasiego mamy przed sobą. Ptaki te tokują, biją się, łowią ryby, karmią pisklęta, lub obojętne, znudzone, siedzą na gniazdach, albo też zbite w olbrzymie stada, ulatują w dal.

Jeden obrazek zabawny godzi się opisać. Ogromna kukułka zupełnie już wyrośnięta siedzi na gałęzi, głowę wykręciła wstecz ponad swój grzbiet a na jej grzbiecie siedzi malutka makolągwa, troskliwa przybrana matka, trzyma w dzióbku gąsienicę, którą zaraz wpuści w olbrzymią rozwartą gardziel swej pasierbicy, czy jak ją tam nazwać.

Nie sposób jednak całości wystawy opisać. Za wiele tego. Ograniczymy się tylko do opisu udziału Polski.

Nasza Państwowa Rada Ochrony Przyrody ze swych bogatych już zbiorów i korzystając z życzliwej pomocy naszych myśliwych i przyjaciół przyrody, wysłała 36 zdjęć, z których umieszczono pokaźną ilość, gdyż aż 21. Bardzo to wiele, jeśli zważymy jakich niebezpiecznych mieliśmy konkurentów o światowej sławie, stale a nawet zawodowo uprawiających ten sposób fotografowania. — A przytem jakie oni tam mają aparaty!

Korespondent tygodnika Field wyraża się o naszych zdjęciach entuzjastycznie, nazywa je „wspaniałą serją myśliwską". Z tej więc serji, Komitet Wystawy wybrał zdjęcia żubrów z Białowieży i jedno z Pszczyny. Żubra naszego Anglik zwie „European Bison" w przeciwieństwie do „American Bison", którego znowu Amerykanie „Buffalo" nazywają ku utrapieniu i wielkiej irytacji przyrodników angielskich. Amerykanie często mają swe odrębne nazwy, różne od ogólnie przyjętych. I tak np. wapiti zwie się u nich „Elk" czyli poprostu łoś, łoś zaś kanadyjski „Moose", nazwa od Indjan zapożyczona, a puma „Mountain Lion" czyli lew górski i t. d.

Lecz wracajmy do naszych zdjęć. Wzięto więc dalej dwa zdjęcia niedźwiedzia karpackiego, następnie odyńca żerującego, stado dzików, świstaka tatrzańskiego, stado jeleni w Spale, wilki, lisa myszkującego, zająca kicającego w zaspie śnieżnej i dwa zdjęcia sarn. Z ptaków zaś wywieszono puhacza, bociany brodzące w jeziorku, tokujące na brzozach cietrzewie, ciągnące krzyżówki i gęsi. A gęsi te — największe zrobiły wrażenie. Jest to zdjęcie dokonane przez p. inż. Burzyńskiego. Olbrzymia ich ilość,

---

A. GROETSCHEL

Jak Hersch Ziegel — salwował się przed dzikami

Wysoki, chudy Hersch Ziegel, mój długoletni dostawca wybrakowanych koni dla dzików i wilków — zgłosił się w kancelarji Nadleśnictwa pewnego styczniowego dnia 1934 roku z tem, że do oddziału lasu 90, nie może nadal dostarczać koni — z powodu wielkiej agresywności okolicznych dzików.

Postanowiłem osobiście zbadać sprawę. Oto jej wynik: W oddziale 90-tym, zalegało siedm niedużych warchlaków, którym matkę odstrzelili chłopi w lecie, w nocy na polach. Gromadka sierot stała się odtąd bardzo ostrożna — nawet podczas nocnych buchtowań trzymała się przeważnie lasu, choć tu mniej żeru, lecz lepsze krycie, a stąd większe bezpieczeństwo.

Z nastaniem zimy spadły duże śniegi, a ziemia stwardniała w kilkunastostopniowym mrozie, uniemożliwiła słabym warchlakom buchtowanie i dostanie się do jej wnętrza. Nastały dnie i noce chłodne i głodne. — Od szeregu lat pomagam na terenie administrowanych przezemnie lasów dzikom przebyć zimę — stąd w kilku stałych miejscach rzucam im mniej lub więcej regularnie — wedle możności, to nieco owsa, to pośladu, kartofli lub mięsa wysortowanych koni.

Dziki moje znają dobrze te miejsca karmy i stare kilkuletnie wiodą tu rokrocznie swą młodzież, by wspólnie ucztować. Te miejsca — w zwartych rozległych lasach Podkarpacia — są znakomitem polem do ciekawych obserwacyj i do przeglądu tego czarnego zwierza.

Jak w latach poprzednich, tak i pomienionego roku rzuciłem trochę owsa, kartofli i tu i ówdzie konia. Moje sieroty wyszukały niebawem to miejsce karmy, zaczęły stale co nocy je odwiedzać. Wreszcie usadowiwszy się w pobliskim gąszczu — całą zimę nieruszały się z tegoż, tylko wieczorem i w nocy codziennie żerowały na miejscu karmienia, względnie w pobliżu.

Lecz karmy nie dawano dla różnych przyczyn codziennie. Były czasy, że nieraz 3—4 dni nie dało się nic rzucić, wówczas dziczki przeszukiwały miejsce karmy bardzo starannie — wyjadały resztki pokarmu tamże pozostałe, buchtowały dookoła pod śniegiem — lecz dalej niż pa-

w trzech czy czterech kluczach ciągnie ponad szczytami Karpat na tle chmur. Korespondent „Times'a" wymienia je z podziwem i wyraża się, „że piszą runami po niebie". Ale co ciekawsze i tego, robiąc to zdjęcie, Szanowny Autor napewno nie przewidział, układem czy szykiem tych kluczy gęsi łączących się w jedną grupę zainteresowało się Angielskie Królewskie Stowarzyszenie Aeronautyczne i zwróciło się z prośbą o udzielenie im odbitki, którą umieszczą w swoim klubie dla zużytkowania w formacjach eskadr lotniczych.

Country Life wydał album pamiątkowy, w którym umieszczono sto najlepszych zdjęć i pomiędzy niemi widzimy tam nasze wilki przesmykujące się przez puszczę bagnistą na Polesiu.

Wystawę tę otwarto 16 października z projektem zamknięcia 30 listopada.

Nasza Państwowa Rada Ochrony Przyrody nosi się z zamiarem urządzenia i u nas podobnej wystawy, oczywiście zdjęć li tylko w naszym kraju dokonanych, w nadziei, że to pobudzi i zachęci i naszych myśliwych i wielu innych do robienia zdjęć z natury.

Wiele jeszcze zdziałać można, wiele jest możliwości, wiele piękna ukrytego. Nasze łąki, wody i stepy, nasze jary, puszcze i gaje pełne są zwierza, pełne są ptactwa. Sztucer, śrótówka, nie zawsze w robocie, a piękno przyrody tak ciągnie na pola, tak ciągnie do lasu...



WITOŁD ZIEMBICKI

MYŚLISTWO A MUZYKA

X.

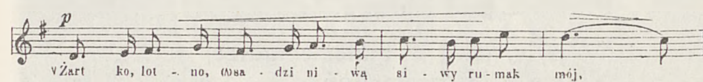
(Ciąg dalszy).

4. MONIUSZKO — GOUNOD.

Obok osnutych na tematach myśliwskich fragmentów operowych, przytoczę z drobniejszych kompozycyj Stanisława Moniuszki trzy pieśni, mające charakter myśliwski.

Pierwsza z nich ma tytuł „Łowy". Słowa tej pieśni przerobione są z wiersza F. Żyglińskiego[1]).

Oto pierwsze takty melodji:



i tekst słowny w całości:

Żartko, lotno, sadzi niwą
Siwy rumak mój,
Parska pianą, błyska okiem,
Obcy jemu znój.

Wiatr po twarzy muska miło,
W oczach miga tak,
Jakby mi się zdało śniło,
Żem lecący ptak.

Wiatr gra w uszach, serce bije,
W żyłach kipi krew,
Wzrok mój goni, gdzie mgła kryje
Kępy leśne drzew.

Słucham, coraz głośniej, bliżej,
Hałas, podków szczęk,
Odgłos rogów, nad nim wyżej
Znów sokoła jęk.

[1]) Zob.: Jedenasty śpiewnik domowy Stanisława Moniuszki, przejrzany i opracowany przez prof. Władysława Rzepko, Warszawa, Geb. i Wolff, b. d. zawiera 26 pozycyj, powyższa ma nr. 21.

---

ręset metrów nie odchodziły. — Gdy nową karmę rzucano — po kilku dniach silniejszego postu, dziczki już za dnia pojawiały się na żerowisku i gromadnie rzucały się na kartofle, owies lub ścierwo.

Dzik jest mądrem zwierzem, o doskonałej kombinacji i o znakomitej orjentacji w terenie i miejscowych stosunkach — stąd, gdy padły na żerowisku pierwsze strzały do skazanych na śmierć koni, dziki umykały w głąb gąszczów. Lecz, że te strzały nie miały dla nich żadnych groźnych następstw — nikt ich w dniu tym nigdy dalej nie niepokoił i na miejscu karmienia nikt z nas do dzika nie strzelał — skombinowały rychło, że zawsze po danych za dnia strzałach, na żerowisku leży świeżutkie mięso konia. Stąd, zwłaszcza po dłuższem niepodawaniu karmy, zjawiały się jeszcze przed zachodem słońca na pomienionem miejscu — gdy uprzednio padły tam strzały. — A z czasem tak się ze strzałami i podawaniem karmy oswoiły, że w kwadrans po strzałach, zwłaszcza gdy były głodne, zjawiały się przy koniu.

Otóż pewnego dnia, gdy dziczki przez pięć dni nie były karmione, zjawił się o 11-tej przed południem Hersch Ziegel wraz ze swym synem i gajowym, prowadząc wybrakowanego konia. Gajowy zastrzelił go, a Hersch z synem zabrali się do ściągania skóry. — Zaledwie ściągnęli trzecią część skóry — gdy gwałtowny łomot w młodniku silnie ich zaniepokoił. Zwrócili się przeto w tym kierunku i przerażonym ich oczom przedstawił się następujący widok: siedem warchlaków szło truchtem w nierównej linji tyraljerskiej, wprost na zajętych zdejmowaniem skóry. Hersch wraz z synem nigdy w życiu nie byli w takiej sytuacji — odskoczyli przeto od martwego konia i podnieśli silny krzyk, lecz to poskutkowało tylko na chwilę. Szarżujący oddział dziczków wstrzymał się na moment — okrągłe i ruchliwe ich ryje poczęły głośno ciągnąć powietrze, nasycone zapachem świeżej krwi końskiej — poczem razem, ruszyły wprzód ku przerażonym Żydom.

Hersch wraz z synem rzuciwszy noże na ziemię, pomknęli wstecz, lecz dziczki nie miały niecnych zamiarów — uciekających zostawiły w spokoju, rzuciły się tylko na mięso końskie, chciwie je rozszarpując. — Hersch z synem dopadli drogi leśnej, a widząc tam jadących chłopów, wezwali ich na pomoc. Szło bowiem o całość skóry koń-

Widzę, pędzi w ślad za psami
Jezdnych cały szlak,
A przed nimi, w ścig z wiatrami,
Sarna jako ptak!

Dzisiaj łowy, czas roboty
W polach ustał już.
Hej na zwierza! taki okrzyk
Rwie się z łowczych dusz.
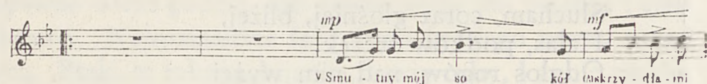
Jeleń, szarak, gna przez błonie,
Już są blisko, już,
A ogniste rwą się konie,
W kłęby wzbił się kurz.

Z głębi boru z krzykiem idzie
Naganiaczy łuk,
Zwierz ucieka w ciężkiej biedzie,
Prawie z pod ich nóg.

W pyle, jako w białej chmurze,
Niknie z jeźdźcem koń,
A w zaroślach, tuż przy górze,
Strzelców błyszczy broń.

Kędy strzały już nie świecą,
Tam gonitwy szał,
W łowcze koła ptaki lecą
Na myśliwych strzał.

Druga pieśń, to „Pieśń uwięzionego myśliwca" z „Dziewicy jeziora" Walter-Scotta, ze słowami polskiemi E. Odyńca. Tendencja wiersza jest patrjotyczna, ale wyraża się ona kategorjami myśliwskiemi i dlatego pomieszczam go tu, przez wzgląd zwłaszcza na obu autorów[2]).



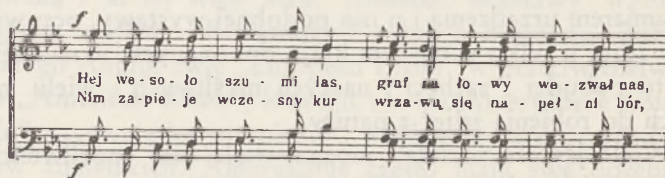
Smutny mój sokół, skrzydłami bije,
Chart mój zamknięty, skomli i wyje,
Koń się mój zżyma i rży przy żłobie,
I pan ich w więzach tęskni sam w sobie.

Kiedyż znów, kiedyż w dzikich dąbrowach,
Będziem jelenia ścigać na łowach,
Na rączym koniu, z sercem wesołem,
Z myślą swobodną, z psem i sokołem.

Kiedyż znów, kiedy, ujrzę blask świtu,
Z oczu Heleny, z niebios błękitu?
Kiedyż znów, kiedy, wracając z boru,
Odetchnę wolno wonią wieczoru.

A witający i powitany,
U nóg jej złożę łup pozyskany?
I znów jak kiedyś, wzrok jej dobroci
Kiedyż, ach kiedy, szczęście mi wróci!

Trzecia wreszcie ma tytuł: „Pochód na łowy" i jest ułożona na chór męski przez Maszyńskiego, którego nazwisko już tylokrotnie wspominaliśmy[3]).



Hej, wesoło szumi las,
Graf na łowy wezwał nas,
Hejże, sprzyja nam ponowa,
Ręka pewna, trzeźwa głowa,
To najlepszy czas!

Rankiem, gdy się ozwie róg,
Wśród zawiłych, krętych dróg,
Ruszym razem, przyjacielu,
Wtedy jedno miej na celu,
Abyś zwierza zmógł!

[2]) Tenże śpiewnik, pozycja 6.

[3]) Ku czci ś. p. Maszyńskiego, niedawno zmarłego, urządziło lwowskie „Echo-Macierz" specjalny koncert. Zob. o tem sprawozdanie W. Hausmana w Kurjerze lwowskim z dn. 10 listopada 1935. — Powyższa pieśń Moniuszki w tym układzie mieści się w znanym Śpiewniku Maszyńskiego, wydawanym w swoim czasie zeszytami, a to w zeszycie 57, na str. 361—364.

skiej, której wartość wynosiła wówczas około dwunastu złotych.

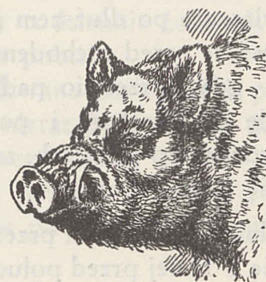
Kilku chłopów poszło Żydom z pomocą, lecz szli powoli, naradzali się i zbierali się razem. Wygłodniałe dziczki słysząc idących ludzi, a nie chcąc pozostawiać im żeru, pochwyciwszy konia ze wszech stron razem, zaciągły go w krzaki o jakie kilkanaście kroków od pierwotnego miejsca.

Atak chłopów na dziczki wśród szalonej wrzawy, zmusił je do odwrotu. Nie odeszły jednak dalej ponad kilkadziesiąt kroków, gdzie ukryły się w gąszczach. Hersch Ziegel ukończył przeto swą czynność bez przeszkody, pod ochroną krzyków chłopskich.

A kiedy w tydzień później ubito nowego konia, historja powtórzyła się niemal dosłownie. — Stąd Hersch Ziegel zmuszony był zrezygnować z dostawy koni w tej partji lasu — o ile nie dało mu się zbrojnej asysty straży leśnej.

Aliści pewnego dnia zgłasza się Hersch ponownie z zapytaniem, czy nie trzeba nowego konia dla dzików. — Oświadczam, że tak, ale tylko do oddziału 90. Byłem przekonany, że dostawca zrezygnuje z doprowadzenia konia, gdyż w dniu tym nie mogłem mu dać do pomocy gajowego. Mimo to Hersch podjął się dostarczyć konia, przyczem śmiejąc się rzekł: „już ja mam na dziki sposób — już ja się ich więcej nie boję".

Oto zanim rozpoczął rozbiórkę konia, zapalał Hersch dwa duże ogniska od strony skąd mogły nadejść dziki i tuż za ogniem spokojnie zdejmował skórę. — Dziczki przychodziły wprawdzie nadal w parę minut po strzale, lecz na widok ognia, wstrzymywały się w tyle w odległości około czterdziestu kroków, aż do ukończenia pracy przy zdejmowaniu skóry i zupełnego zgaśnięcia ognia, poczem zbliżały się ostrożnie i rozpoczynały swobodnie ucztę.



Jeden, drugi, celny strzał
Las w podziwie będzie drżał,
Zagrzmi echo po dolinie,
Żwawiej w żyłach krew popłynie,
Byleś szczęście miał

Nim zapieje wczesny kur,
Wrzawą się napełni bór,
Raz i drugi podejść śmiele,
Hej, zdobędziem łupów wiele,
I niedźwiedzich skór!

Ja ostępy dobrze znam,
Wszyscy my bywali tam,
Gdy kudłacza wytropimy,
Już go z matni nie puścimy,
Hej, nie ujdzie nam!

Jeden, drugi, celny strzał i t. d.

Gounod Karol (właściwie Charles, — stąd chwiejność u nas w pisowni inicjału: *K.* lub *Ch.)*, słynny kompozytor Fausta, zostawił także wiele pieśni, z których przytoczę 3 myśliwskie, często śpiewane przez chóry polskie: „Łowy", „Zasadzka" i „Chór strzelców".

Podam tylko pierwsze zwrotki, wskazując w odsyłaczach odpowiednie wydawnictwa, gdzie można znaleść cały tekst wraz z muzyką.

Łowy[4])

Na łowach cały dzień
Spędzamy pośród kniei,
Wtem zdradna noc rozsiewa cień
Tra la la la la .....
— — — — — — —

Zasadzka[5]).

Ledwie poszarzało,
Pierwszym blaskiem dnia,
Strzelca zapał gna,
Na zdobycz liczy niemało.
— — — — — — —

Chór strzelców[6])

Tu niema dróg
Tu w głębi lasu
Naprózno szukać śladu
Już tyle czasu
Błądzim w krąg
Niechaj na znak ozwie się róg!
— — — — —

Od kiedy w ostęp ten
Sarny ślad zagnał nas,
Ponura noc okryła wszystko zdradnie,
Groźne cienie osnuły las.

Słyszycie wilków głos
To tu, to tam,
Z dwóch stron na raz?
Czy wszystkim nam
Już zginąć tu wypadnie?

Niechaj na znak ozwie się róg,
Tu niema dróg!

[4]) Muzykę zob. w Wydawnictwach „Lutni", Warszawa, Geb. i Wolff, 1893, zeszyt 8, str. 62—64.

[5]) Muzyka w temże wydawnictwie, r. 1895, zeszyt 16, str. 25—3(
Rzecz wydana też przez Lwowski chór akademicki, w r. 1913.

[6]) Wydawnictwa „Lutni" j. w., r. 1902, zeszyt 42, str. 233—2

C. d. n.



Księżna Lubomirska ze swoim kapitalnym szesnastakiem, zabitym dnia 28 września 1935 r. w dobrach Metropolitalnych Perehińsko, rewir Czorna Rika.

KAZIMIERZ JACKOWSKI

Na borsuka

Piękny, słoneczny dzień październikowy.

Urządzamy małą wyprawę na borsuka, który zamieszkał stare jamy, bardzo głębokie i o licznych korytarzach. — Grunt piaszczysty, kopanie łatwe, byle zamknąć borsuka w ostatniej jego komorze.

Stajemy nad jamami o 9-tej przed południem z pieskami — Czokiem, wypróbowanym, ciętym i niezawodnym foksterjerem i Kubusiem, jednorocznym foksojamnikiem. Dwaj gajowi z łopatami badają wejścia, których jest aż pięć, z tych dwa świeżo czyszczone; przy jednem wejściu, na miękkim piasku, widoczne duże tropy borsucze.

Psy rwą się na smyczy, naszczekując.

Zawieszamy broń na drzewie — zatrzymując w ręku jedynie nabity karabinek browning 22, szykujemy aparat fotograficzny i tak przygotowani, puszczamy Czoka; Kubusia odprowadza gajowy na bok, by nie przeszkadzał. Czok zręcznym skokiem wpada w jamę i znika w jej głębiach. — Czekamy spokojnie, uważnie nadsłuchując, rychło podziemne granie oznajmi ruszenie ze snu borsuka.



Wysuwa się wolno z kanału tęgi borsuk...

Mija parę minut — głosu żadnego nie słyszymy — rozchodzimy się przeto wszyscy — 5 osób — od jamy wejściowej w promieniu 5 do 10 kroków — i — z uchem przy ziemi, staramy się uchwycić podziemne szmery. — Jest to jedyny sposób umożliwiający na powierzchni ziemi określenie miejsca, gdzie w danym momencie tkwi pies, atakujący borsuka.

W ten sposób udaje się nam szybko zorjentować co do miejsca akcji Czoka, który — szczekaniem swem, gdzieś 2 m w głębi, zdradza sytuację. — W tej chwili naszczekuje i przesuwa się — widocznie borsuk ustępuje gdzieś w boczny kurytarz. I my przesuwamy się na powierzchni ziemi, wyczekując, aż Czok zapędzi borsuka w ostatnią jego komorę, poczem można rozpocząć skuteczne kopanie.

Zdaje się nam, że Czok atakuje w jednem miejscu, ustalamy więc kierunek i zabieramy się do kopania rowu wpoprzek przepuszczalnego chodnika, w odległości 5 m od jamy wejściowej. Dwaj gajowi kopią rów 2 m długi i 1 m szeroki, co jakiś czas nasłuchując, czy akcja podziemna nie przesunęła się dalej. Narazie w porządku; rów w terenie piaszczystym szybko się pogłębia, już prawie 1 m głęboki, tak, że psa ujadanie słychać wyraźnie, bez przykładania ucha do ziemi. Słychać też pomruk borsuka, gwałtownie grzebiącego, widocznie dla zrobienia sobie bezpiecznego ujścia przed napastnikiem. Ale i Czok, poczuwszy zbliżającą się pomoc w kopaniu gajowych, naciera mocniej... próbuje chwytać za tył borsuka, który też przerywa grzebanie i usiłuje odgryźć się intruzowi. Krótka walka, skowyt psa, trochę szamotania, poczem cisza... Czyżby Czok uduszony?

Przyśpieszamy kopanie, równocześnie puszczamy Kubusia do jamy, nasłuchując, co tam się dzieje. W parę sekund odzywa się Kubuś, ale o jakie 2 m w bok od kopanego rowu... a więc borsuk ubezwładnił Czoka i pewnie po nim przejechał w boczny korytarz i tam Kubuś zagrodził mu drogę... Ale oto i Czok wyskakuje z jamy — mocno okaleczony na lewym policzku. Doskakuję do psa, by go opatrzyć — ale ten skoczył w drugie wejście i znikł w jamie. Znowu chwilę czekamy. Już oba pieski naszczekują, małe przesunięcia, krótka walka i skowyt Kubusia, poczem ponowne szczekania obu piesków, ale w nowem miejscu — o 3 m dalej od kopanego rowu. Tu musimy borsuka wykopać.

Zakładamy nowy rów poprzeczny i na zmianę z gajowymi kopiemy, a w międzyczasie i borsuk nie próżnuje, zakopując się coraz dalej i coraz głębiej. W tym wyścigu pracy — po nowych 10 minutach, jesteśmy półtora m głęboko, a równocześnie urywa się naszczekiwanie — akcja podziemna przesunięta gdzieś dalej — albo borsuk przebił się w boczny korytarz. Decydujemy się kopać głębiej w obu rozpoczętych rowach; po 2 minutach przebijamy w pierwszym rowie kanał podziemny, skąd wychodzi Kubuś, nieco zadraśnięty — ale mocno zainteresowany. Kubusia bierzemy na smycz i w tej chwili w głębi widzimy Czoka, rozgartującego ziemię.

Tu gdzieś musi być borsuk, który poprostu sypnął piaskiem w oczy napastnikom i zdołał odgrodzić się. Zostawiamy ów otwarty kanał z Czokiem, zasypujemy jednak dalsze przejście w przekopanym rowie, na głębokości 2 m i czekamy, pewni, że borsuk nie ujdzie. Czok dalej kopie, my cichutko wyczekujemy, ustawiamy aparat fotograficzny. — nagle Czok gwałtownie cofa się do przekopu, ujadając, gajowy chwyta psa na smycz i wyrzuca go na wierzch, a tu wolno, ostrożnie, pomrukując, w ślad za Czokiem — wysuwa się lśniący, duży borsuk. — Stoimy bezszelestnie, obserwując jego ruchy, a tylko psy za przekopą ujadają wściekle i rwą się na smyczy.

Wtem „knips" aparatu i następnie celny strzał z karabinka w czoło borsuka — wyprawa skończona. Dwie godziny trudu zostały nam nagrodzone pięknym, sadlistym borsukiem.

Zasypujemy oba przekopy, opatrujemy psom niegroźne rany, zmywamy im z piasku oczy i z borsukiem na noszach, wesoło wracamy do domu.



R. H.

Polowanie na krokodyle

W czasie bytności mojej w Yurimaguas (miasteczko posiadające 3 tysięcy mieszkańców, odległe 500 km od Iquitos), tamtejszy podprefekt czyli starosta, chcąc zrobić mi przyjemność, zorganizował polowanie na krokodyle.

O godzinie 6-tej rano, do statku, na którym mieszkałem, przybiła łódź z czteroma wioślarzami. Zabrawszy karabin, dubeltówkę, aparat fotograficzny i konserwy, wraz z żoną wsiedliśmy w łódkę, która miała nas zawieść do jeziora Sanango, celu naszej wycieczki.

Droga z początku prowadziła w górę rzeki Huallagi. — Po 2-godzinnej jeździe skręciliśmy na prawo w kanał. — Kanał ten, łączący rzekę Huallagę z jeziorem Sanango, szerokości dwadzieścia do trzydzieści metrów, obramowany wysokiemi drzewami, których wierzchołki w górze gdzieniegdzie się łączyły, tworząc zwarte sklepienie, był od czasu do czasu zatarasowany drzewami, które ze starości wpadły w wodę, lub też pniami drzew, które każdy wylew wód znosi w wąskie koryta. Dlatego odcinek tej drogi, mimo że był bardzo uroczy, ponieważ jechało się arterją w sercu puszczy, zmuszał moich wioślarzy do karkołomnych wyczynów, aby móc przejechać wielką łodzią t. zw. „batelonem" jużto pod konarami drzew, jużto po drzewach zanurzonych w wodzie.

Po 2 godzinach tych karkołomnych sztuczek, to jest o godzinie 10-tej, wypłynęliśmy na jezioro. Ale krokodyli ani śladu. W jednem miejscu napotkaliśmy chatę tubylca metysa, który zapytany o krokodyle, powiedział, że ze względu na przypływ wód, krokodyle przesiadują teraz w małych bagnach w lesie, a dopiero o godzinie 5-tej wieczorem, wychodzą na żer i wtedy można je spotkać na jeziorze. Niechcąc tyle czasu tracić na czekanie, wysiedliśmy na brzeg, na którym w niektórych miejscach były ślady, a raczej poprostu całe ścieżki wydeptane i wytłoczone cielskami kajmanów. Ale jaszczura nie było widać ani na lekarstwo.

O godzinie 4,30 wsiedliśmy do łódki i wyruszyliśmy na jezioro. Po niedługim czasie, w odległości 50 metrów, pokazuje się krokodyl — łódź jest w pełnym biegu, wioślarze całą siłą swych ramion chcą przybliżyć się do jaszczura, ale i on nie próżnuje; zwróciwszy się bokiem do nas i obserwując nas jednem okiem, oddala się coraz bardziej. Biorę go na muszkę i posyłam mu kulę dum-dum. Plusk kuli pół metra przed głową krokodyla, spłoszył go, a mnie powiedział, że łódka jechała szybciej w tym momencie od krokodyla i stąd strzał przed zwierzyną. Powtórzyć strzału nie mogłem, bo przeszkadzali mi wioślarze. Dlatego zrobiłem małą reorganizację: sam siadłem na dziobie łódki w miejscu, na którem siedzieli dotychczas wioślarze, ich przerzuciłem w tył, przez co zdobyłem całkowitą swobodę ruchów i strzałów. — Wioślarzom nakazałem, w momencie gdy zobaczą krokodyla, podpłynąć na 30 do 40 metrów i zatrzymać łódkę. Manewrując koło sitowia i jadąc cicho, ujrzałem łeb jaszczura w odległości kilkunastu metrów. Nie mając czasu do stracenia, złożyłem się i strzeliłem. Jaszczur palnął ogonem wodę i znikł w przybrzeżnych sitowiach. Lekko zabarwiona woda powiedziała nam, że został trafiony, ale jak i gdzie, nie można było stwierdzić.

Jeden z peonów (parobków) podał projekt, aby jechać wzdłuż sitowia, a on będzie udawał głos krokodyla samicy, wabiący w ten sposób samców, którzy będą mu odpowiadali. Zgodziłem się na to, ruszyliśmy wzdłuż brzegów a peon zaczął wabić krokodyle, wydając głos uhuu... uhuu...

Po niedługim czasie zaczęły nas dolatywać z sitowia podobne głosy; kazałem więc zatrzymać łódkę, aby mieć



...kazałem więc zatrzymać łódkę

pewniejszy strzał, gdy nadpłynie krokodyl. — Niedługo czekaliśmy, gdy nadpłynął kajman samiec i ukazał się w sitowiu zaledwie parę metrów od łodzi. Posłałem mu kulę dum-dum. Strzał był stuprocentowy, mimo to zwierz znikł pod wodą i parobcy oznajmili mi, że poszedł na dno i dopiero po godzinie, lub dwu, wypłynie na powierzchnię wody, ale i tak z pewnością w innem miejscu.

Ponieważ niedługo miało się ściemnić, postanowiliśmy wracać.

Wjechawszy w kanał, ujrzeli parobcy z dala na brzegu kajmana, który widocznie był już nażarty i odpoczywał. Jeden z nich zwrócił się do mnie i rzekł ściszonym głosem: „mister, legarto" (panie, krokodyl). Mam palec na cynglu i muszkę na łbie jaszczura, łódź posuwa się bezszelestnie, skracając odległość, 16, 12, 10, 8 metrów — i pada strzał. Kajman trafiony kulą dum-dum w głowę, skoczył na 4 łapach w górę, przewrócił się na wznak, ogon coraz słabszemi ruchami dawał znać, że życie uchodzi ze zwierza. Posyłam mu na wszelki wypadek jeszcze jedną kulę w komorę, ale zwierz już ani nie drgnął. Parobcy czemprędzej wyskoczyli na brzeg i wielkimi nożami t. zw. maczetami ucięli mu ogon, którego mięso jest jadalne, a nawet uważają je za przysmak.

Zabraliśmy więc ogon na łódkę i ruszyliśmy w dalszą drogę, która dzięki zapadającemu zmrokowi straciła na swej romantyczności, a zwalone pnie groziły rozbiciem głowy i wywaleniem łódki do wody. — Ale synowie południa pokazali w tym wypadku, co potrafią. Ich koci wzrok w ciemnościach potrafił z każdej niebezpiecznej sytuacji łódkę wyprowadzić.

Po trzech godzinach jazdy, którą nie można nazwać przyjemną, nawet gdy się wsłuchuje w niezliczone głosy płynące z puszczy i obserwuje się świecące jak rakiety chrabąszcze, wypłynęliśmy na rzekę Huallage. — Była już godzina 9-ta wieczór; płynąc teraz z prądem rzeki, za godzinę przybyliśmy do statku, mając jako pracę dzienną, parę zranionych, a jednego zabitego krokodyla.

ADAM GOŁĘBSKI

Dalszych kilka słów na temat polskich ładunków śrutowych

Celem poniższych uwag nie jest w żadnym wypadku dyskwalifikowanie krajowych gatunków bezdymnego prochu do ładunków śrutowych. Po przeczytaniu jednakże artykułu na powyższy temat w 12-tym numerze „Łowca", uważnemu, chociażby niefachowemu czytelnikowi nasuwają się wątpliwości, których wyjaśnienie leżeć może jedynie w interesie gałęzi krajowego przemysłu, tak bardzo interesującego myśliwych.

Ułatwioną byłaby dyskusja na temat „zagraniczny czy krajowy proch" gdyby daną była myśliwym naszym możność zapoznania się z datami balistycznemi różnych gatunków prochu. — Rottweiler, mimo wysokiego cła, cieszy się u nas liczną rzeszą przyjaciół. Postarałem się więc o daty odnośne tegoż prochu, udzielone mi przez Rheinisch-Westfälische-Sprengstoff-Actien-Gesellschaft w Berlinie.

Przedewszystkiem sprzeciwiam się twierdzeniu P. Generała Maryańskiego, jakoby V 15 (chyżość przy odległości 15 m) była wogóle miarodajną dla siły przebijania przy różnych odległościach, jako bowiem normalną odległość dla strzału śrutowego przyjąć należy 35 metrów, czego najlepszym dowodem jest, że tę właśnie odległość przyjęto ogólnie dla prób z bronią śrutową. Niema prochu, któryby na odległość 15 m nie dał praktycznie możliwego wyniku.

Przytoczona przez P. Generała Maryańskiego chyżość V 15 nie może być w żadnym wypadku miarodajną dla dobroci prochu, bo celem do osiągnięcia może być tylko jak najmniejsza strata na chyżości, a zatem i na sile przebijania przy różnych, a w każdym razie większych, jak na 15 m odległościach. Na dowód podaję, że fabryka prochu Rottweiler rozmyślnie utrzymuje V 5 = tylko 360 m/sec. ponieważ osiąga przy tem najlepsze krycie i najmniejszą stratę chyżości. — Z tego wynika, co praktycznie stwierdzonem zostało, że gatunki prochu wywołujące wysoką chyżość początkową (V 0) mogą powodować wielką jej stratę przy dalszych odległościach.

Pozatem opuścił P. Generał Maryański w swojej tabeli porównawczej to, co najważniejsze, a mianowicie średnicę śrutu przy której osiągnięte zostały cytowane chyżości. Ogólnie znaną jest rzeczą, że przy zwiększaniu się średnicy śrutu, maleje strata chyżości na większe odległości. — Podawanie więc V 15 bez podawania średnicy śrutu nie może stworzyć obrazu porównawczego. W tem miejscu podaję prawdziwie fachowo zestawioną tabelę średniej chyżości śrutu rottweilerowskich naboi myśliwskich, z uwagą, że nie jest ona moim wymysłem.

	Średnie chyżości na odległość m										
Śrut mm	V 0	V 5	V 10	V 15	V 20	V 25	V 30	V 35	V 40	V 45	V 50
4,50	379	360	343	326	310	295	281	267	254	242	231
4,25	380	360	341	323	306	290	275	260	247	233	221
4,00	382	360	340	320	302	285	268	253	239	225	212
3,75	384	360	338	317	297	279	262	245	230	216	203
3,50	386	360	336	313	292	273	254	237	221	206	192
3,25	389	360	334	309	286	266	246	228	211	195	181
3,00	392	360	331	304	280	257	236	217	200	184	169
2,75	395	360	328	299	273	249	227	207	189	172	157
2,50	399	360	325	294	266	240	217	196	177	161	145
2,25	403	360	322	288	258	231	207	185	165	148	132
2,00	407	360	319	282	249	221	195	173	153	135	120
1,75	412	360	315	275	240	209	183	160	140	122	107
1,50	419	360	310	266	229	197	169	145	125	107	92

Siłę przebijania, która jak wiadomo jest wynikiem mnożenia połowy wagi śrutu w naboju przez kwadrat chyżości na pewną odległość, obliczyć można łatwo przy pomocy powyższej tabeli posługując się form. $m:2 \times V^2$ przyczem pamiętać należy, że waga śrutu przy cal. 12 wynosi 35 gr. przy cal. 16—30 gr. przy cal. 20—26 gr. — Otrzymamy w ten sposób obraz siły przebijania poszczególnych sort śrutu przy różnych odległościach.

Wspomina P. Generał Maryański o tem, że proch Rottweiler przy temperaturze — 15^0 traci 17,4 m/sec. Ja uzupełnię ten cytat wynikiem próby dokonanej w fabryce „Rottweiler", która wykazała następujące wyniki: trzymane naboje przez 48 godzin na wolnem powietrzu przy temperaturze — 12^0 podczas gdy porównawcze naboje trzymano w temperaturze + 16 do + 19^0 przy normalnej wilgotności powietrza. Zamrożone naboje wykazały, że strata chyżości wynosi:

przy V 5 17 m/sec.
„ V 12,5 11 m/sec.
„ V 35 natomiast już tylko 3½ m/sec., co praktycznie niema żadnego ujemnego znaczenia dla myśliwego, bo mało zależy mu na tem, gdy straci więcej na początkowej chyżości, będącej z natury wyższą, ale zależy bardzo wiele na tem, by strata na chyżości przy dalszych odległościach nie była znaczna.

Nikogo nie może interesować strata na chyżości przy odległości 5-ciu metrów, nie mogę więc wyjść ze zdumienia, dlaczego P. Gen. Maryański tę właśnie odległość wybrał. Przypuszczalnie otrzymał tendencyjnie fałszywe daty a rozpowszechniwszy je, mimowoli wprowadził w błąd czytelników i obniżył faktyczne wartości prochu „Rottweiler".

Każdy z nas ucieszy się niepomiernie, gdy wartość krajowej amunicji śrutowej dorośnie do wyrobów zagranicz-

nych. Ale sporo jeszcze czasu upłynie, zanim dysponować będziemy solidnemi łuskami, zanim jednem słowem całość naboju szczęśliwie konkurować będzie mogła z wyrobami zagranicznemi. Narazie tak nie jest. Mamy produkt nie wyrównany i nie mogący zadowolić naszych skromnych wymagań. Byłoby może lepiej ograniczyć narazie ilość gatunków krajowych prochów nawet do jednego, ale postawić go na odpowiedniej wyżynie i dobrać odpowiednią spłonkę.

Zamknięci jesteśmy wysoką barjerą celną, jesteśmy zdani na łaskę i niełaskę naszych wytwórni, przez co łatwo przyjść może do obniżenia się a nie podwyższenia wartości krajowych prochów. — Każdemu z nas zależy bardzo na uniezależnieniu się od zagranicy i z chęcią popierać będziemy krajową produkcję, byle tylko entuzjazmowanie się „Łosiami", „Sokołami" czy „Szarakami" nie było przedwczesne i nie wyszło na szkodę w powijakach jeszcze będącego przemysłu prochowego. — Rada na to: zniżyć wydatnie cło na amunicję zagraniczną i po przez zdrową konkurencję, przyczynić się do poprawy wartości krajowego naboju śrutowego.

Raz po raz słyszy się skargi i narzekania, że strzelając krajową amunicją, najlepsi strzelcy z najlepszych broni nic zabić nie mogą i tylko zwierzynę kaleczą. — Albo więc zające nasze w stalowe oblekły się pancerze, albo ładunki są pod psem — „tertium non datur"



O moim lesie

O, mój zielony, wiekuisty, lesie,
kędy dziś szasta twoją pieśnią wiatr?
Jam tu, daleki... Dusza wciąż mknie, pnie się
po wiedzę, wyżej — jak ten góral z Tatr!
Czy słońca blaski do dziś pieszczą twoje
zdyszane piersi, skąd żywica tchnie?
Czy w świętym trudzie zadumane stoją
kolumny leśne, stare, mszyste pnie?

Czy grzywacz siwy, z stalowemi barki,
co ongiś gniazdo na choinie miał,
wrócił o wiośnie silny, wesół, szparki —
i dziko-piękny zew swój w puszczę słał?
Czy drozd na szczytach olchowych koronek
rozsnuwał trelów tajemniczą nić?
Czy zakwitł wiosną cichy, leśny, dzwonek
i kwiat konwalji — czy jął rosę pić?

Opowiedz, wyszepcz, lesie, gędźby swoje:
o wszystkich troskach i radościach twych...
Osłodź mi szare o istnienie boje,
daj myśli jasnych, a niedolom — sztych!

Chcę wszystko wiedzieć — szmer twój nie dolata...
zagrzmij na wietrze swą potężną pieśń!
Gdzież wy, o, czasy, szczęsne moje lata,
kiedym, strząsnąwszy z serca zgniłą pleśń,
Szczerą radością roztętniony cały,
tulił do piersi każdy ziemi pył;
kiedym w rozpędzie brał przeszkody, wały
i szczęściem życia szczęśliw szczęśnie żył?...

Hej! mój ty, lesie w orkanach jesieni,
gdy martwy pada na grunt zmarzły liść,
wierzysz, że wiosna życie rozpłomieni...
A ja — też naprzód, naprzód muszę iść!

Lecz, kiedy wolne nadlecą godziny,
wrócę — wędrowiec, jak tułaczy ptak,
i spocznę sobie na sercu bez winy,
w cichej zieleni... Tak, mój lesie, tak.

Tytus Karpowicz



Dwudziestopięciolecie Samborskiego Tow. Myśliwskiego

W dniu 7 i 8 grudnia b. r. obchodziło Samborskie Towarzystwo Myśliwskie dwudziestopięciolecie swego istnienia.

Przed laty dwudziestupięciu grono tutejszych myśliwych zwołało zebranie, na którem uchwalono utworzyć w Samborze Towarzystwo myśliwskie dla celów podniesienia racjonalnej gospodarki łowieckiej, podniesienia stanu zwierzyny łownej, wykonywania polowania zgodnie z zasadami etyki myśliwskiej.

Założycielami towarzystwa byli ś. p. Dr. Juljusz Alexandrowicz, Leon Bereźnicki, Dr. Józef Dobrzański, Stanisław Głogowski, Karol Krotochwila, Stanisław Oleński, Dr. Aleksander Ruczka, Aleksander Żerebecki, Bronisław Szefner i wielu innych.

Po zatwierdzeniu statutu przez ówczesne Namiestnictwo lwowskie, w maju 1910 r., zaczęło Towarzystwo swoją działalność, zrzeszając w swem gronie przez szereg lat bardzo wielu dziś już nie żyjących myśliwych, oraz licznych myśliwych jeszcze do dziś polujących.

Przeglądając akta, protokoły walnych zebrań i posiedzeń Wydziału, zapiski z wyników polowań prowadzonych skrupulatnie przez sekretarzy towarzystwa w ciągu lat 25, można stwierdzić, z jakiemi trudnościami walczyło nieraz Towarzystwo, by wywalczyć należne mu prawa i przeprowadzić konieczne dla działalności postulaty.

Niejednokrotnie zwłaszcza po wojnie, tylko dzięki energji i silnej woli niektórych jednostek, a zwłaszcza długoletniego prezesa i założyciela P. Karola Krotochwili, Towarzystwo wyszło obronną ręką z walki, jaką prowadziły podstępnie niektóre czynniki, które raczej ze względu na swe stanowisko społeczne, powinny były udzielać Towarzystwu opieki i pomocy.

Uroczystości 25-lecia rozpoczęto nabożeństwem w kościele parafjalnym przy udziale reprezentantów władz administracji i wojskowości, następnie po wspólnej fotografji członków Tow. i Delegatów M. T. Ł. z powiatu samborskiego odbyła się skromna myśliwska wieczerza,

na której po przemówieniu obecnego prezesa P. sędziego Mirosława Węgrzynowicza, wręczono najstarszemu członkowi Tow. Panu Pawłowi Poppemu, dyplom honorowego członka. Podobny dyplom wręczono J. W. Panu Leonowi Tchorznickiemu, właścicielowi Nadyb i Wojutycz za specjalne zasługi, ponoszone bezinteresownie dla samborskiego Towarzystwa Łowieckiego.

W miłym nastroju spędzono kilka godzin na wspólnej pogawędce myśliwskiej.

W dniu 8/XII odbyło się reprezentacyjne gremjalne polowanie w kniei Brześciańskiej, gdzie po mistrzowsku zakładane mioty przez wiceprezesa Tow. P. Ludwika Ekierta dały nadzwyczajne rezultat 62 zajęcy i 3 lisy. Królowała jak zwykle rodzina WP. Adamostwa Biedermanów, która w składzie czterech strzelb: Mamy, Ojca, Córki i Syna miała na rozkładzie 23 zajęcy i 2 lisy.

Skromne te uroczystości jubileuszowe miały na celu przypomnieć społeczeństwu samborskiemu, że Tow. łowieckie samborskie, mimo pobożnych życzeń niektórych jednostek, nie upadło, lecz przeciwnie zmogło się na siłach tak moralnie jak i finansowo i pomne swej tyloletniej tradycji będzie stało zawsze na straży przepisów etyki myśliwskiej i jako jedno z ogniw tej wielkiej rodziny myśliwych całej Polski, będzie dążyć do rozwoju i wzmożenia idei myśliwskiej.

*

Samborskiemu Towarzystwu łowieckiemu przesyłamy z okazji 25-lecia Jego istnienia życzenia dalszego rozwoju i owocnej pracy na niwie łowieckiej. — **Red.**



WITOŁD ZIEMBICKI

Dwie audycje

Dnia 3 listopada z. r., jako w dzień Św. Huberta, nadano na wszystkie rozgłośnie Polskiego radja dwie audycje myśliwskie: jedną z Warszawy, drugą ze Lwowa. Warszawska była słuchowiskiem, lwowska składała się z odczytu i z koncertu.

Słuchowisko, opracowane przez znanego pisarza z pod znaku św. Huberta, było obrazkiem rodzajowym z życia łowieckiego. Myśliwi zjeżdżają się w wigilję św. Huberta w dworku wiejskim i, podejmowani gościnnie przez gospodarstwo, spędzają czas na wesołej gawędzie przy stole biesiadnym, pośpiewując i omawiając horoskopy polowania, nazajutrz odbyć się mającego.

Słuchowisko było grane świetnie. Szkoda, że nie wymieniono nazwisk artystów, bo za ich trud należy im się rzetelna pochwała. Pani domu była bez konkurencji, niezrównany był gajowy. Tempo, werwa, zrozumienie, — wszystko to nie pozostawiało nic do życzenia. Można powiedzieć, że mało słuchowisk zeszłorocznych mogło się równać z tą audycją pod względem artystycznej techniki wykonawczej.

Treść słuchowiska miała tendencję propagandową. Taka propaganda jest pochwały godną, z uwagi zwłaszcza, że o łowiectwie wciąż jeszcze wśród szerokiego ogółu dzikie panują pojęcia. Propaganda może mieć dwojaki cel na oku: albo propagować hasła nowe, albo rozpowszechniać wiadomości dawne, ale nie dość jeszcze rozpowszechnione. W tym drugim wypadku musimy sobie zawsze zdać dobrze sprawę z tego, czy informacje, podawane przy użyciu nota bene tak potężnego czynnika dydaktycznego jak radjo, polegają na faktach notorycznych i stwierdzonych, czy też na podstawach wątpliwych. W ocenie pracy twórczej jestem zwolennikiem podnoszenia stron dodatnich, a nie ujemnych. Jeżeli się jednak budzą zastrzeżenia w sprawach zasadniczych, byłoby błędem wstrzymać się od ich podniesienia.

Pomijam więc drobne niekonsekwencje, które wkradły się do słuchowiska częściowo zapewne wskutek zmian i skreśleń, dokonanych bez udziału autora, od którego wiem, że takie zmiany poczyniono. Na ogół zapewne mało kto je zauważył. Poruszę tylko dwa szczegóły, mające związek z n a u k ą i t r a d y c j ą, t. j. dwoma głównemi założeniami utworu.

Najpierw przykład z zakresu nauk przyrodniczych. Gajowy opowiada, że tegoż dnia rankiem, widział lisa, sznurującego z pola do lasu z żywym ptakiem w pysku. „Szedł do młodych, by się na żywcu zaprawiały do polowania". Ten barwnie opowiedziany, obrazowy szczegół powinien był być pominięty, bo wprowadza w błąd słuchaczów. Edukacja lisów w listopadzie? Przecież młode już w lecie samodzielnie polują. Czyżby nie wiedział o tem stary gajowy?

Druga sprawa, ważniejsza — to tradycja. Całe towarzystwo zabawia się w wigilję św. Huberta, czyli 2 listopada. Czy jest do pomyślenia, ażeby w polskim dworze pielęgnującym tradycje (bo goście i gospodarstwo powołują się wciąż na tradycje) rozbrzmiewały skoczne dźwięki fortepianu i wesołe pieśni w Dzień Zaduszny? Wszakże był to jedyny dzień w roku, zupełnie wyłączony z życia towarzyskiego. Życie to zamierało, bo dzień poświęcony był wyłącznie umarłym, pośród których miało się zawsze bliskich i dalekich. Jeszcze za mojej młodości wszelkie lokale rozrywkowe w dniu tym bywały zamknięte, w teatrze dawano „Dziady". Jeżeli dziś może jest, lub zaczyna być inaczej, nie wynika z tego, by było to zgodne z tradycją.

Całe nieporozumienie w tem, że nigdy u nas nie było tradycji hubertowskiej w tem znaczeniu, jak ją przedstawiono w słuchowisku. Przedewszystkiem w dawnej Polsce wogóle nie było tradycji hubertowskich. Szukać dowodów na to, że istniał w dawnej Polsce kult św. Huberta, jest trudem straconym. Do Jana III włącznie, — nie było go. Polski rok obrzędowy, ani zwyczajowy, nie znał takiego kultu. Mało powiedzieć, że niema nań dowodów. Są dowody, że go istotnie nie było. Hubertowski ceremonjał myśliwski zjawił się u nas wraz z Sasami, ale była to epoka, w której nie można już było mówić o kontynuacji staropolskich zwyczajów wogóle, myśliwskich

w szczególności. Co do Litwy, tam przedstawicielem kultu św. Huberta stał się, i to także w bardzo późnym okresie, dom radziwiłłowski. Również pod wpływem obcym. Dzięki swym stosunkom i koligacjom otrzymywali Radziwiłłowie zagraniczne, hubertowskie ordery, — dystynkcje bardzo szacowne, niekoniecznie zresztą z punktu widzenia myśliwskiego. Nic dziwnego, że wychowany na Litwie, wiedział coś o św. Hubercie Mickiewicz, którego tak często powołuje się na świadka. Powołuje się także i Pola. Ten poeta niewątpliwie znał nieźle zwyczaje myśliwskie, szczególniej w Małopolsce, ale też nie trzeba go tendencyjnie interpretować, jak to czynią niektórzy pisarze. Zresztą oddawanie czci św. Hubertowi, nawet tam, gdzie ona u nas zaczęła się zakorzeniać, wcale nie oznaczało niewolniczego wiązania myśliwskich objawów tej czci z datą 3 listopada. Wprawdzie we Francji emulacja pomiędzy św. Eustachym (20-go września) a św. Hubertem skończyła się ostatecznem zwycięstwem św. Huberta m. i. dlatego, że termin listopadowy ze względu na uprzątnięcie zbiorów rolnych bardziej odpowiadał polowaniu *à courre*, ale w Polsce nie to było decydującem. Dlatego też, kiedy raz akceptowano św. Huberta, wcale nie trzymano się daty 3 listopada. Wielkie łowy hubertowskie przesuwano na czas późniejszy, czekając śniegu. Wystarczy powołać się na współczesny opis łowów u księcia Radziwiłła „Panie Kochanku" (Kotłubaj, Galerja nieświeska, str. 467). Czytamy tam m. i.:

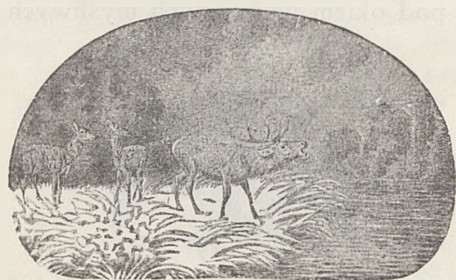
„...Dnia 24 grudnia wszyscy goście równo ze świtem byli na nogach. B y ł t o d z i e ń ś w. H u b e r t a, a ks. Karol, jako kawaler orderu pod wezwaniem tego patrona myśliwych, nie zaniedbywał nigdy uczcić dnia tego wielkiem polowaniem."

Celem moim wcale nie jest wykazanie, że kult św. Huberta w Polsce niema racji bytu. Przeciwnie. Jest on potrzebny i ma głębszy sens moralny. Pod sztandarem św. Huberta stanęły już dawno inne cywilizowane narody, stańmy i my pod tym sztandarem za ich przykładem, bo jest to jeden z przykładów, naśladowania godnych. Ale nie tłumaczmy samych siebie tradycją staropolską, nieistniejącą. A Dzień Zaduszny zostawmy w spokoju. Zwyczaje zaduszkowe mają niejeden moment pod względem rodzinnym, społecznym i narodowym może o wiele donioślejszy niż tradycje hubertowskie. Naruszanie tych wartości nie przyczyniłoby się do popularności haseł myśliwskich.

Amicus Plato...

Jedno należy stwierdzić na zakończenie: słuchowisko warszawskie było wytworem oryginalnej pracy i szlachetnej myśli.

Niestety tej oryginalności nie mogliśmy się dopatrzeć w odczytowej części audycji lwowskiej. (C. d. n.)



Z literatury łowieckiej

B o l e s ł a w Ś w i ę t o r z e c k i. **Podstawy łowiectwa oraz zarys teorji strzału śrutowego.** — Drukiem Józefa Zawadzkiego w Wilnie, r. 1935.

Z książką B. Świętorzeckiego — w kołach myśliwskich wysoko cenionego Prezesa Tow. Łow. Ziem Wschodnich — przybywa najpoważniejszej literaturze łowieckiej, tej, którą nazwałbym dydaktyczną, dzieło pierwszorzędnej wartości.

Wystarczyłoby właściwie przytoczyć tytuły 17 ustępów części pierwszej, książki, by unaocznić, że praca ta dotyka wszystkich dziedzin łowiectwa, począwszy od hodowli i ochrony zwierzyny, a kończąc na przynależności trofeów myśliwskich i na przechowywaniu ubitej zwierzyny w trakcie polowania na nią.

Zwracają na siebie uwagę ustępy mówiące o odżywianiu się zwierzyny, o jej paszy naturalnej i poddawanej, o spokoju w rewirze i o ochronie zwierzyny, gdzie autor z bogatego skarbca własnych doświadczeń — gdyż sam jest właścicielem pięknie zagospodarowanego łowiska, a miał przed wojną 200 hektarowy ogrodzony zwierzyniec, — daje wskazówki, które będą cennemi nietylko dla początkujących hodowców, lecz niejednokrotnie i dla starszych praktyków. W ustępie zatytułowanym „Wpływ drapieżników na inne gatunki zwierzyny" rozważa autor tak szkodliwość jak i użytkowość pojedyńczych gatunków drapieżników, względnie t. zw. szkodników i wykazuje zgodnie z ucierającemi się w nowszych czasach zapatrywaniami, że niektóre są wielce użyteczne nietylko dla rolnictwa, lecz właśnie także i dla łowiectwa, dla którego spełniają zadanie naturalnej selekcji i policji sanitarnej. Na tej podstawie i dla utrzymania gatunku, domaga się też autor przyznania czasu ochronnego i wilkowi, którego w ustępie o klasyfikacji zwierzyny, zalicza do zwierzyny grubej, t. j. do klasy drugiej zaprojektowanego przez się podziału zwierzyny.

Autor dzieli bowiem zwierzynę łowną na cztery klasy, a to na zwierzynę najgrubszą, grubą, wysokołowną i łowną. Nie wchodzimy w to, czy ten podział jest słuszny, czy nie jest on mianowicie zbyt wyspecjalizowany, względnie czy w przeciwieństwie do niego podział ustalony przez myślistwo niemieckie — tylko na zwierzynę wysokołowną (Hochwild) i drobną (Niederjagd) — nie jest za ogólnikowy, ale w każdym razie nie możemy się zgodzić z tym podziałem co do jelenia, którego autor cofnął do klasy drugiej, gdy do pierwszej zalicza tylko niedźwiedzia, łosia i rysia.

Znakomite i bardzo aktualne są uwagi autora w kwestji wpływu na zwierzostany różnych sposobów polowania. Załatwia się on tu zdecydowanie ze sprawą, która była w bieżącym roku szeroko omawiana na łamach „Łowca Polskiego" i Trąbek wileńskich, a mianowicie ze sprawą polowania z psami gończemi. Uznając cały czar takiego polowania i przyznając, że je sam dawniej w swych rewirach praktykował, oświadcza się autor przeciw niemu, bo się przekonał, że takie polowania dewastują zwierzostany. Autor potępia też polowania w kotły, bo na tych polowaniach padają ofiarą przeważnie zajęczyce, a mają one nadto i tę wadę, że pchają uczestników do usiłowań robienia rekordów, dla zdobycia których wielu

waży się na strzały na dalekie odległości, pod hasłem: „a nuż się uda". Autor zaznacza, że poważniejsze towa- rzystwa myśliwskie zabroniły już w swych regulaminach takich polowań.

Autor jest przeciwnikiem strzelania kulą tak do głuszców w podchodzie, jak i do cietrzewi na toku. — Nie mam zamiaru wywoływać polemiki w jakimkolwiek kierunku, a śmiem podnieść tylko wątpliwość, czy jest słuszne zda- nie autora, że przy strzałach kulami z budek, kaleczy się i traci więcej cietrzewi, niż się to dzieje przy strzelaniu ich śrutem. Wszak z budek polują na tokowiskach nie sami tylko najoględniejsi myśliwi, polują i tacy, na których autor słusznie wyrzeka, że na polowaniach w kotły strze- lają na wielkie odległości; a czy tacy nie będą też prażyć kogutów z daleka, zwłaszcza gdy im po kilkugodzinnem wyczekiwaniu żaden nie zasiądzie lub się nie zbliży na możliwie pewną odległość? Zdaje mi się też, że nieda- leko odejdę od prawdy, jeżeli zaryzykuję twierdzenie, że u nas w Małopolsce stan cietrzewi wzrósł właśnie znacz- nie od czasu, gdy na tutejszych tokowiskach stał się do- minującym strzał kulowy, z broni dobrze do tego polo- wania dobranej.

Nader pouczającemi są ustępy książki o odstrzale se- lekcyjnym i o odświeżaniu krwi, tudzież uwagi o nowem prawie łowieckiem. Wszystko zaś jest napisane pięknym potoczystym stylem, tak iż się to czyta z największem za- jęciem i z prawdziwą przyjemnością.

Jest jednak rzecz, którą autor czytelnikowi pozostał dłużny i którą powinien mu oddać przez dodatkowe wy- jaśnienie — najlepiej w naszym centralnym organie, w „Łowcu Polskim". Mianowicie autor na stronie 10-tej zwraca uwagę na jakąś roślinę, która ma być u nas po- spolitą, a ma stanowić znakomitą paszę dla jeleni, sarn i zajęcy i zasługuje na większe bez porównania rozpo- wszechnienie niż wiele innych przereklamowanych roślin pastewnych. — Autor opisuje wprawdzie pobieżnie tę ro- ślinę, ale nie podaje jej nazwy i przyznaje, że jej nie zna. Według wywiadów poczynionych przezemnie, na podsta- wie opisu, mogłaby to być wierzbówka wąskolistna, Epi- lobium angustifolium. Pewność osiągnąć możemy jednak tylko wtedy, jeżeli sam autor okaże roślinę któremuś z bo- taników, a uzyskanem wyjaśnieniem zechce się drukiem podzielić ze światem myśliwych-hodowców.

Odczytując cały tytuł książki B. Świętorzeckiego, na- suwa się nam mimowoli wątpliwość, czy autor nie połą- czył w jednej książce dwu rzeczy mało ze sobą pokrew- nych i czy nie byłoby, mówmy „zgrabniej" część drugą, t. j. „Zarys teorji strzału śrutowego" wydać jako książkę osobną. — Przeczytawszy jednak krótki wstęp do tej czę- ści, dowiadujemy się, że autor tak postąpił rozmyślnie i musimy się z nim zgodzić, że tak właśnie należało zrobić. Autor bowiem w owym wstępie powołuje się na to, że przeważna część myśliwych, nie mając teoretycznych wia- domości o możliwościach strzału śrutowego, ma przesadne pojęcia o biciu swych śrutówek, a w następstwie tego strzela na bardzo dalekie odległości, kalecząc zwierzynę. Postępowanie takie, pomijając jego nieetyczność, wpły- wa szkodliwie na zwierzostany, a przeto pod kątem wy- jaśnienia. czego od strzelby śrutowej można żądać i czego się po niej spodziewać, teorja strzału śrutowego staje w or- ganicznej łączności z częścią pierwszą, mając tak samo jak i tamta na celu podniesienie, lub przynajmniej zaszanowanie naszych zwierzostanów. Można nawet powiedzieć, że cała druga część książki skierowaną jest na to, by nieświado- mym wbić w głowy, że dystans pewnego strzału t. j. taka odległość, na której zwierzyna dobrze wzięta na muszkę, powinna bądź paść w ogniu, bądź przynajmniej zostać umiejscowioną, nie przekracza dla strzelb najlepszych ma- rek 50-ciu, a dla zwykłych — 40 metrów.

W części tej napisanej zwięźle, a dla każdego zrozu- miale, opiera się autor nie tylko na własnych doświadcze- niach, lecz, rzecz zrozumiała, o wiele częściej niż w „pod- stawach łowiectwa", na zdaniach czołowych balistyków na- szych i zagranicznych, zachowując jednak we wielu spra- wach swój własny sąd i polemizując nieraz przekonywu- jąco z odmiennemi zdaniami, nawet w literaturze utartemi.

Zakończę steoretypowem może w recenzjach o książ- kach z zakresu łowiectwa — powiedzeniem, lecz w tym wypadku naprawdę szczerem, że książki Bolesława Świę- torzeckiego nie powinno brakować nawet w najmniejszej bibljoteczce myśliwskiej i powinna stanowić prawdziwe „vade mecum" każdego hodowcy i każdego polującego.

A. Sander



„Łowiec Polski" Nr. 36 z r. 1935

Panu Redaktorowi bratniego Pisma warto powinszować wydania tego numeru, poświęconego potentatowi puszcz naszych wschodnich, łosiowi.

Zdobi go jedenaście zdjęć rosoch łosich, zdobytych w Polsce w roku zeszłym. Z bardzo interesujących arty- kułów w tym numerze wybija się na pierwsze miejsce na- pisany przez Ks. Karola Radziwiłła, p. t. „Piękne spotka- nie". Czytając go, odczuwa się potężny czar puszczy, ale przedewszystkiem wysoki poziom łowiecki Autora, Jego ukochanie tego królewskiego zwierza i troska o jego dal- szy rozwój.

Numer ten jest najżywotniejszą reklamą naszego ło- wiectwa o znaczeniu światowem a treść jego napawa szlachetną dumą polskiego myśliwego.

Bardzo też interesującym jest artykuł p. inż. Knothe'ego p. t. „Na Tegorocznym Wabie Łosi" z tabelą pomiarową jedenastu rosoch. Według niej, wszystkie one nadają się do odznaczeń medalami (2 złote, 4 srebrne, 5 bronzowe).

Widzimy więc, że odstrzał królewskiej tej zwierzyny odbywa się pod okiem wytrawnych myśliwych i hodow- ców. A. M.



Korespondencje

Ryków, w październiku 1935.

Korespondencja ze Złoczowskiego.

Niesamowite dziki.

Dziwne rzeczy dzieją się na tym Bożym świecie!

Gdzieś z końcem września, spoczywam rano w łóżku, jak na praworządnego emeryta przystało i zaczynam myśleć o kawie — bo było już około 6,30 — gdy wpada moja córka z okrzykiem: „Tatusiu! We wsi jest dzik!"

Znając zwyczaje i obyczaje zacnych dzików, byłem pewny, że to jakaś pomyłka, bo coby reprezentant dzielnego rodu dziczego o tym czasie robił we wsi?! Miałem więc zamiar obrócić się na drugi bok i śnić dalej o kawie z kożuszkiem — gdy doszedł mnie ponowny okrzyk mojej córki: „Tatusiu! Proszę prędko wstawać, bo we wsi jest doprawdy dzik!" — Równocześnie usłyszałem wrzask kmiotków we środku wsi. Ha! Coś się tam doprawdy dzieje!

Wskakuję więc w pyżamę i pantofle — wsadzam do repetjera 5 nabojów i już mam wyruszyć na tego dzika — ciągle jednak pełen nieufności, gdy przychodzi z „pola bitwy" nowy meldunek: „Dyk wże piszoł do lisa!

Chwała Bogu! Wyładowuję więc sztuciec, wyłażę z piżamy i włażę z powrotem do łóżka; po pewnym czasie zmieniło się senne marzenie o kawie w pełną rzeczywistość, podali ją; była pyszna! Ale nie było mi danem dnia tego wypić „lurkę" z należytym spokojem, bo akurat w połowie śniadania wpada Hanka z meldunkiem, że właśnie przyprowadzili jednego, którego dzik bardzo „ukusił".

Tu już nie było wątpliwości, że dzik był we wsi. Lecę do kuchni i widzę tam największego draba i wnykarza z całego Rykowa z rozwaloną na wzdłuż dłonią, farbującego po całej podłodze.

Opatrzyłem mu łapę — mając w duszy żal do dzika, że go lepiej „pro publico bono" nie rozpłatał („Czemuś wtedy mój Gerwazy! Czemuś wtedy chybił!") i od niego dowiedziałem się o autentycznym przebiegu awantury.

Otóż jakiś dziczysko, z opisu 3 letni wycinek, któremu ktoś siekańcem przerwał śniadanie w chłopskich kartoflach — udał się prościutko (sic!) gościńcem do Rykowa do środka wsi.

Mołojcy, zobaczywszy go, wznieśli bojowy okrzyk: „Dyk, dyk!" a uchwyciwszy co kto miał pod ręką — siekierę, makohon, widły i t. p., hajże na dzika! okładając to zacne stworzenie, gdzie który mógł. Jeden odważny schwytał go nawet za „chwist" (ogon). — Tego było dzikowi jednak przecież za dużo. Najpierw więc jednego, który go po tabakierze „makohonem" przejechał, chlasnął tak, że chłop machnął koziołka i legł okrwawiony w rowie — potem temu, który go za ogon trzymał, rozwalił rękę i, gdy na takie dzicze „dictum acerbum" mołojcy się wycofali, halakując tylko zdala — udał się przez mostek gościńcem w kierunku rzym. kat. plebanji, znanej naogół z dużej gościnności.

Akurat wychodziło bydełko ks. proboszcza na pastwisko. Na widok tak niezwykłego gościa, rzuciło się w popłochu i z rykiem zpowrotem do stajni, a przerażony pastuch, zamknął dzikowi bramę przed nosem ...pardon! przed tabakierą.

Wobec tak niegościnnego przyjęcia udał się urażony dzik przez łąkę księdza proboszcza do ...sołtysa, zdaje się na skargę o „pobicie" i ulokował się w otwartej stodole na słomie. Chytre zaś mazury-koloniści pomyślały sobie: „Ha! To se dzicka ubijewa sami! Bez generała!" i zaczatowali przy bramie, jeden z siekierą, drugi z bijakiem do kłócia drzewa — a ktoś tam trzeci zaczął dzika animować, by raczył wyjść ze stodoły.

Ten poznawszy już dostatecznie niegościnność tak autochtonów, jak i kolonistów rykowskich, wyjechał ze stodoły, jak z procy i wyciął jednego z czatujących mazurów tak, że chłopczysko wywalił się, jak długi, sam zaś już przez nikogo nie napastowany — udał się do lasu płuhowskiego o ½ km oddalonego i tyle go widziano.

Nie sądź jednak Szan. Czytelniku, że to już koniec dziczych awantur. O nie! Oto w jakie 8 dni po tej awanturze wracam do domu z nieudałego, jak zwykle, buszowania z psem za słonkami i dowiaduję się, że w Krasnosielcach, wsi oddalonej od osławionego Rykowa o 3 km, położonej w czystem polu, od której do najbliższego lasu jest dobre 4 km — chłopi drągami (!) zabili we środku wsi dzika; jeden z nich aż konno przyjechał, by mi to donieść.

Istotnie wedle sprawdzonej potem relacji, zjawił się popołudniu dzik we wsi i tam go zapędzono do jakiegoś dołu, gdzie pod razami siekier i drągów, marnie swój żywot zakończył. Mięso rozebrały kmiotki błyskawicznie między siebie a mnie przynieśli skórę — odartą jednak zupełnie z „piór"; również szable pokruszyli siekierami na kawałeczki.

Rozgniewany zacytowałem im Götza z Berlichingen — wyrzuciłem delegata wraz ze skórą na „twarz" — ale główną pretensję mam do św. Huberta! Nie ma bowiem sprawiedliwości na świecie! Gdy ja, dzierżawiąc polowanie lat 16 i pilnie łażąc po lesie i po polach — nie mogłem się nigdy w tej okolicy z dzikiem spotkać, to tu takie „bycze ogony" — jak mawiał Zagłoba — biją dziki drągami we środku wsi!

Ale żarty na bok! Powiedzcie mi doświadczeni Bracia Myśliwi, od kiedy dziki chodzą w biały dzień po wsiach? Czy ten dzik — to był jeden i ten sam dzik tak w Rykowie, jak i Krasnosielcach? Czy jakaś chłopska lotka czy siekaniec uszkodziły mózg biednego dzika a z nim instynkt samozachowawczy tak, że on właśnie do środka wsi musiał zawędrować? Nie rozumiem tego.

Mimo całej ansy, jaką z tego tytułu żywię do św. Huberta — niech Mu będzie cześć!

Walery Maryański, generał
delegat M. T. Ł.

Zator, w grudniu 1935 r.

W dniach 3 i 4 grudnia b. r. odbyło się w Zatorze polowanie, przy współudziale w pierwszym dniu 4-ch, oraz w drugim dniu 8-miu strzelb. — Sumaryczny rozkład z obu dni polowania był następujący: 455 zajęcy, 387 bażantów, 107 kuropatw, 1 słonka, 2 różne, razem sztuk: 952. — Kuropatwy, były strzelane na zasadzie specjalnego zezwolenia udzielonego przez Pana Wojewodę krakowskiego. M. S.

Kronika

ULEPSZONY WYBIJACZ SPŁONEK.

W handlu broni Kupczyńskiego we Lwowie, pojawił się ulepszony wybijacz spłonek w cenie 5 zł., który za jednem nałożeniem wystrzelonej łuski, wybija zużyte i nabija nowe spłonki. — Jest to doskonały aparat, prosty i pewny w użyciu model, emeryt. starosty Marjana Słońskiego, znanego myśliwego.

Aparat składa się z 2 metalowych słupków pionowych na drewnianej podstawce; słupek stały połączony jest z ruchomą dźwignią, posiadającą dwa gniazdka do wybijania zużytych i do nabijania nowych spłonek. — Słupek ruchomy na który nakłada się wystrzeloną łuskę, ma 2 położenia: pionowe — do wybijania i odchylone (ukośne) do nabijania spłonek. Manipulacja łatwa i szybka, dopasowanie spłonki ścisłe, bez deformowania denka łuski, co ma duże znaczenie dla precyzji strzału. I dlatego aparat ten winien znaleźć się tam, gdzie rekonstruuje się wystrzelone łuski.

KOMUNIKAT KLASYFIKACYJNY

zawodów Strzelecko-Myśliwsko-Łuczniczych o Mistrzostwo król. stoł. m. Lwowa na r. 1935, odbytych we Lwowie w dniach 5, 6 i 7 października 1935 r.

W Grupie Myśliwskiej:

Mśr. 2 (10 krążków) — Mśr. 5 a (10 zajęcy) — Mk. 3 (5 jeleni) Mk. 7 (5 dzik.).

1. Mistrz Jaśkiewicz Stanisław M. T. Ł.	10	10	20	15	55
2. Dr. Rauchberger Fryderyk — Żubr	9	10	14	17	55
3. Inż. Sander Zbigniew — M. T. Ł.	10	10	18	8	46
4. Inż. Sroczyński Tadeusz — M. T. Ł.	6	9	12	16	43
5. Iwański Adam — Żubr	5	9	14	13	41
6. Georgeon Władysław — Żubr	7	9	15	9	40
7. Sander Alfred — M. T. Ł.	7	9	12	11	39
8. Mjr. Sroczyński Stefan	8	9	3	10	30
Dr. Scheinberg Anszel	10	10	8	—	28
Por. Stańczewski Zbigniew WKS. 26 p. p.	—	—	15	12	27
Brückman	6	—	—	11	17
Sroczyński Adam		—	7—	6	13

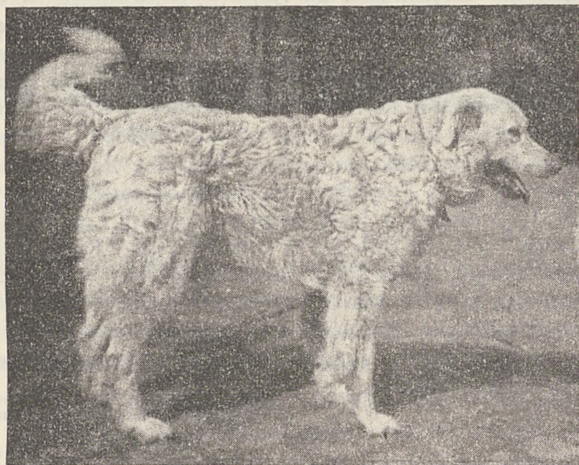
Zespołowo:

Mistrzowski zespół M. T. Ł.: Jaśkiewicz 55, Sander Zb. 50, Sander Al. 39 — razem 144 pkt.

2. Zespół „Żubr" — Lwów: Dr. Rauchberger 50, Iwański 41, Georgeon 40 — razem 131 pkt.

Kącik kynologiczny

Termin urządzenia „Dnia psa“ ustaliliśmy na dzień 21 czerwca 1936 r. w niedzielę. Przedpołudniem odbędzie się ocenienie psów przez grono sędziowskie, a po południu pokaz przez właścicieli względnie hodowców przed publicznością. — Blankiety na zgłoszenia są przygotowane i na życzenie będą rozsyłane. Wpisowe dla członków wynosi od każdej sztuki 2 zł. a dla niecziłonków 10 złotych.



„T u t n y“ owczarek podhalański, amatorskiej hodowli St. Lewandowskiego. Lwów, ul. Poniatowskiego 7.

Owczarki podhalańskie są już do odstąpienia u p. Lewandowskiego„ Lwów, ul. Poniatowskiego 7 i u p. Marji Zbrożkowej w Rudkach. — Umieszczamy fotografję „Tutnego“ p. Lewandowskiego. Zarząd Oddziału.

Zmiany Okresów Ochronnych

ROZPORZĄDZENIE
MINISTRA ROLNICTWA I REFORM ROLNYCH
z dnia 20 listopada 1935 r.
(Dziennik Ustaw . P. Nr. 86 z dnia 28. XI. 1935 r.)
o zezwoleniu na polowanie na łanie icielęta jelenia i daniela oraz na sarny-kozy i koźlęta w województwach poznańskiem i pomorskiem.

Na podstawie art. 51 ust. 1 pkt. e) rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 3 grudnia 1927 r. o prawie łowieckiem (Dz. U. R. P. Nr. 110, poz. 934) w brzmieniu, ustalonem rozporządzeniem Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 11 lipca 1932 r. (Dz. U. R. P. Nr. 67, poz. 622), zarządzam co następuje:

§ 1. Na obszarze województw poznańskiego i pomorskiego zezwala się polować:
na łanie i cielęta jelenia w okresie od 1 grudnia do 28 lutego,
na łanie i cielęta daniela w okresie od 1 stycznia do 28 lutego,
oraz na sarny-kozy i koźlęta w okresie od 1 stycznia do 15 marca.

§ 2. Rozporządzenie niniejsze wchodzi w życie z dniem 1 grudnia 1935 r. i obowiązuje do dnia 31 grudnia 1936 r.

Minister Rolnictwa i Reform Rolnych:
J. Poniatowski.

ROZPORZĄDZENIE
MINISTRA ROLNICTWA I REFORM ROLNYCH
z dnia 20 listopada 1935 r.
(Dziennik Ustaw . P. Nr. 86 z dnia 28. XI. 1935 r.)
o ochronie niektórych zwierząt łownych.

Na podstawie art. 51 ust. 1 pkt. a), b) i c) rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 3 grudnia 1927 r. o prawie łowieckiem (Dz. U. R. P. Nr. 110, poz. 934) w brzmieniu, ustalonem rozporządzeniem Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 11 lipca 1932 r. (Dz. U. R. P. Nr. 67, poz. 622) zarządzam co następuje:

§ 1. Czas ochronny, ustalony w art. 49 rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 3 grudnia 1927 roku o prawie łowieckiem, rozszerza się tak, że obejmuje on:
dla danieli-rogaczy okres od 1 grudnia do 15 października,
dla sarn-kozłów w województwach poznańskiem i pomorskiem okres od 1 października do 31 maja i od 16 lipca do 15 sierpnia, w województwach: krakowskiem, lwowskiem, stanisławowskiem i tarnopolskiem okres od 1 lutego do 31 maja, w województwach zaś pozostałych, okres od 1 lutego do 15 maja,
dla zajęcy szaraków w województwach poznańskiem i pomorskiem okres od 1 stycznia do 15 października, w województwach: wileńskiem, nowogródzkiem i poleskiem okres od 1 lutego do 31 października, w województwach zaś pozostałych, okres od 1 lutego do 15 października,
dla bażantów-kogutów okres od 1 marca do 15 października,
dla dzikich kaczorów okres od 1 czerwca do 15 lipca,
dla dzikich kaczek (samic i młodych) oraz innego ptactwa wodnego i błotnego okres od 1 stycznia do 15 lipca.
dla puhaczy w województwie wileńskiem okres od 1 marca do 15 września, w województwach zaś pozostałych okres od 1 lutego do 31 października.

§ 2. Zabrania się całkowicie polowania na łosie-byki, dropie i dropie-kamionki (strepety).

§ 3. Wprowadza się okres ochronny dla:
dzików od 1 marca do 30 czerwca;
niedźwiedzi od 16 stycznia do 15 grudnia;
rysi od 1 marca do 31 grudnia;
żbików od 1 lutego do 30 września;
kun leśnych (tumaków)od 1 marca do 30 września;
norek od 1 lutego do 31 grudnia.

§ 4. Rozporządzenie niniejsze wchodzi w życie z dniem 1 stycznia 1936 r. i obowiązuje do dnia 31-go grudnia 1938 r. Jednocześnie traci moc obowiązującą rozporządzenie Ministra Rolnictwa i Reform Rolnych z dnia 12 listopada 1934 r. o wprowadzeniu czasu ochronnego dla niektórych zwierząt łownych (Dz. U. R. P. Nr. 104, poz. 930).

Minister Rolnictwa i Reform Rolnych:
J. Poniatowski.

SPROSTOWANIE względnie WYJAŚNIENIE.

W Nrze 14-tym „Łowca“ z r. 1935, na stronie 185, w artykule p. t. „Podatek od polowań“ została ustawa o tymczasowem nieuregulowaniu finansów komunalnych z 11. sierpnia 1933 r. zacytowana według jej jednolitego tekstu z r. 1932. Oznaczenie zatem poz. 884. Nr. dz. R. P. 106, odnosi się do rocznika dziennika ustaw z 1932, a nie z r. 1923, jakby się to mogło wydać ze względu na datę cytowanej ustawy.

TREŚĆ NUMERU 1:

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 6·— zł.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Ceny ogłoszeń: cała strona 120 zł., ½ str. 60 zł., ¼ str. 30 zł., ⅛ str. 15 zł., 1/16 str. 7 zł. — Ogłoszenia na pierwszej stronie o 50% drożej. Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 15 gr. za wyraz, tłusty druk, grube litery po 20 gr. Najmniejsze ogłoszenie zł. 2. Znaki pisarskie liczy się za wyrazy.

Redakcja i Zarząd Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego dla wpłat członkowskich: Lwów, ul. Ossolińskich 11, I p. schody 5, drzwi Nr. 44. Godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małop. Tow. Łow. we wtorki i piątki o godz. 12-tej. — Redakcja nie zwraca rękopisów już drukowanych i zastrzega sobie konieczne zmiany i skróty. — Adres telegramów: „Łowiec“, Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839. — Telefon Nr. 218-59. — Administracja: Księgarnia Gubrynowicz i Syn, właść. A. Krawczyński, Lwów, plac Katedralny 9, tel. 228-81.
Oddział w Krakowie ul. Kremerowska 12, P. K. O. 405.265.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek. Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego.
Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Tel. Nr. 119-50.